



Syndrom świni.

Wieśniak, co tę świnię hoduje, dostawał za kilo żywca coś około 3 zł. Jako klient rzeźnika płaciłem za mięso mniej więcej pięć razy tyle, za kielbasę ze sześć razy tyle...

Wieśniak, co tę świnię hoduje, dostawał za kilo żywca coś około 3 zł. Jako klient rzeźnika płaciłem za mięso mniej więcej pięć razy tyle, za kielbasę ze sześć razy tyle...

Tak byłem już wychowany, że przechodząc koło księgarni, zawsze skręcałem w jej stronę. Gdy bardzo się śpieszyłem, patrzyłem na wystawę, czy jest coś nowego. Najczęściej nie śpieszyłem się i wtedy przybywała mi książka.

Dziś też odruchowo skręcam, ale raczej nie wchodzę. Nie częściej niż kilka razy w roku. Bo teraz to przyzwyczajenie jest nie tyle głupie, ile samobójcze. Wybór jest prosty: książka albo życie. Zgadnijcie, co wybiera emeryt, któremu ręka w pustą kieszeń włazi aż po łokieć.

A w ogóle, zarabiano się wtedy podobnie, 800, 1000, jak dobrze szło to nawet 1500 złotych. Szary zjadacz chleba rzadko zarabiał więcej, choć były to czasy, gdy górnik wyciągał nawet 5000. Ale nie każdy był górnikiem.

Ile kosztowała książka? No, taka zwyczajna, powiedzmy powieść „Popiół i diament”, kosztowała 3,60. Tomik wierszy Staffa 2,20. Piękna z obwolutą „Smuga cienia” dochodziła do 6,00 zł. Grube wydanie albumu malarstwa mogło osiągnąć nawet ponad 30. Cena 50 zł przyprawiała o zawrót głowy, ale trzeba przyznać, że tyle kosztowała złożona z kilkunastu książek seria Wydawnictwa Morskiego albo Iskier. Nie mówię, że nie stać mnie było na to.

Co prawda, dość szare to były książki, daleko im do obecnych barw i żywości okładek. Choć niektóre wydawnictwa bardziej się starały. Ale treść była. Taka jak należy.

I jeszcze trzeba przyznać, że było sporo braków. Nie wydawali u nas literatury amerykańskiej, w ogóle anglosaskiej, wyjąwszy klasyczną, niegroźną ideologicznie. Iberoamerykańskiej także nie wydawali. Powiedzmy, z wyjątkami. Francuskiej. Włoskiej. Niemieckiej. Nie licząc klasycznej, także z wyjątkami. Nie wydawali orientalnej, nawet klasycznej. O tym, że Hindusi potrafią pisać, świadczył jedynie Tagore. Grecy i Rzymianie byli raczej słabopiśmienni. Tak by wynikało.

Ratunkiem były języki obce, rzadko dostępne Polakom. Książki w zachodnich językach były nie to, że podejrzane, bo istniały księgarnie obcojęzyczne nawet w latach 1950/60, ale nikt w nich nie bywał. Potem zrobili tylko działy w księgarniach normalnych, te obce zlikwidowali.

Pośród znajomych byłem dziwakiem: znałem język rosyjski. Wiem, że trudno uwierzyć, ale Dos Passosa czytałem w pierw po rusku! I Asimova! I Sartra! I nawet „Księgę z San Michele”. Nie wspominając już o „Szahname”, „Gulistanie” czy „Rycerzu w tygrysięj skórce”. Po rosyjsku czytałem Gilgamesza, Manetona, klasyków greckich i łacińskich. Od „Tysiąca walecznych” po „Podróż za trzy morza” i kronikę Benedykta Polaka. Oni to wydawali bez żadnego obciachu dla ideologii. Nie bali się wydać Guderiana „Tanki w pieriod!” („Panzer voran!”), Mannsteina „Patieriannyje pabiedy” („Verlorene Siege”), nie bali się dzienników Haldera, Mellenthina, historii Trevora-Ropera, tak jakby niczego. W dodatku te książki były za bezcen – tyle kosztowały w złotówkach, ile w rublach. Trzydzieści tomów Puszkina kupiłem na jeden łyk!

Na użytek straceńców dodam, że owszem, były też „Statek Derbent”, „Daleko od Moskwy”, „Cement”, „Monitor Żelazniaków”, ale był także Tynianow, był Winogradow, Czawczawadze i Efendi Kapijew, a nawet Paustowski i Bułhakow. No, Sołżenicyna nie wydawali, ale „Opowiadania kołymskie” owszem. Czytelnicy też byli jakby inni: książki podobały im się albo nie podobały dopiero po przeczytaniu, a nie , jak teraz, przed.

Potem było ciut gorzej. Gdy benzyna z 2,70 skoczyła na 4,50, zaś masło na 17,50 nastąpił jakby krach. Książki były już po 10 złotych, te drogie nawet po 100. Jakoś zginęło bogactwo ruskojęzycznej literatury, za to rozszerzyły się obszary polskiego języka. Był i Gide, i Camus, Feuchtwanger, Mann, Capote, Jones – cała masa. Szary człowiek zarabiał już 2-3 tysiące i wciąż stać go było na książki.

Prawdę mówiąc, z trudem to sobie przypominam, raczej z trudem w to wierzę.

Gdy przed ośmiu laty sam wydałem swoją pierwszą „pozycję zwartą”, mówiąc prościej zaś, książkę „Kapitanowie”, takie sobie żeglarskie czytało niemal na 500 stron, z dumą i zadowoleniem złożyłem w towarzystwie wydawcy wizytę w pewnej wielkiej hurtowni. Wydawca miał już z nią wcześniej dość żywe konszachty, ja byłem nieco skrępowany. Ale mniejsza z tym.

Na pytanie, ile egzemplarzy zechcą wziąć do sprzedania, przedstawiciel nie kryjąc łaskawej miny odparł, że całe sto. Orzekł, że książka jest przygodowa, tematycznie ciekawa, więc zapewne owe sto egzemplarzy sprzeda się w krótkim czasie. Na moje głupie pytanie, czy naprawdę trafiliśmy do hurtowni książek, uśmiechnął się tylko. Obiecał, że gdy się sprzeda tę setkę, zamówią rzecz jasną kolejną. Stwierdził, że skłonny jest zapłacić 20 złotych za każdą, dodając „w miarę sprzedaży”.

Wydawca był na szczęście kolegą mym ze szkoły podstawowej, nie obił mi więc pyska.

– Mówiłem ci, że więcej nie wezmą! Co my zrobimy z resztą?

Dlatego, że był kolegą, wymusiłem na nim nakład 2.000 egzemplarzy. Teraz o mało nie płakał nad moją zarozumiałą pychą. A ja nie potrafiłem pojąć, że 2000 książek można w ogóle nie sprzedać. Zresztą, to ja płaciłem, sprzedawszy w pierw samochód.

Następna hurtownia wzięła 30. Kolejna 50. W ciągu pracowitego tygodnia pozbyliśmy się 350 egzemplarzy, zyskując nadzieję na zapłatę gdzieś tak w przyszłym roku.

Potem, oczywiście, wypatrywałem książki po księgarniach. Była! Naprawdę moja książka!

W cenie od 32 do 39 złotych. Nawet w empiku była. Za 57.

Wtedy pojąłem syndrom świni.

Wieśniak, co tę świnię hoduje, zapewniając jej koryto i ciepły chlewik, dostawał za kilo żywca coś około 3 zł. Jako klient rzeźnika płaciłem za mięso mniej więcej pięć razy tyle, za kiełbasę ze sześć razy tyle, a osiem, gdy chciałem lepszą.

Pośrednik, tak samo hurtownik, brał więcej niż chłop za hodowlę. Sprzedawca też brał więcej. Brał? Nadal przecież bierze. Obaj biorą więcej. Ale przy rozważaniu sprawy hodowli i zbytu mięsa liczy się tylko chłop. Nie można mu dać więcej niżeli te trzy złote.

Z tego się składa syndrom świni.

Za owe 2000 egzemplarzy mojej książki drukarz policzył coś 8 zł od sztuki. Proponowane przez hurtownię 20 zdawały mi się ogromną ceną. Te 57 – wybaczcie. Naprawdę umiem kłać, ale nie muszę się tym chwalić.

Zapytałem drukarza, ile by wziął za sztukę przy nakładzie, powiedzmy, 20 lub 30 tysięcy. Odparł, że na pewno poniżej 5 zł. Może nawet 3 z ogonkiem. Wtedy zacząłem liczyć.

Może nie 30, ale 20 tysięcy po 5 zł to by było 100 tysięcy. Gdyby sprzedać książkę za 10 czy 12 zł., byłoby drugie 100, może 140 tysięcy. Dochodu. Z jednego tytułu. Minus koszty.

Koszta, czyli wydawca i autor. Powiedzmy, 15 i 20 tysięcy. Obaj szczęśliwi niby nadzy w pokrzywach. Nawet by można dać im od razu do ręki. Utrzymanie hurtowni, dystrybucja, reklama. Do diabła, niechby też 30 tysięcy. To znaczy, 35 albo 75 tysięcy zysku. Z jednego tytułu!

Czy książkę, lekkie czytało za 10, 12 zł kupiłby ktoś? Odpowiednio przygotowana reklama, pojawienie się równoczesne we wszystkich większych miastach – na pewno by kupiono. Byłyby środki na wszystko, nawet na telewizję. Przy takiej ilości tytułów, każdy wydawca, każda hurtownia mogłaby wykupić swoje pół godziny choćby dwa razy w tygodniu.

Ale hurtownia woli zarobić na 100 egzemplarzach 1000 czy może 2000 zł i mieć kłopoty płatnicze. Patrząc, jak w kraju spada czytelnictwo, bo ludzi nie stać na książki, bo za 57 zł trzyosobowa rodzina może przeżyć tydzień. Kto kupi książkę za taką cenę? Zarabiający 800 zł? 1200? Nawet ten za 2000 pensji grubo się zastanowi.

Nie miałem wątpliwości, że „Kapitanowie” przeleżą jako cegła przez rok, potem usłyszę, że mam to sobie zabrać, bo książka jest kiepska i nikt jej kupić nie chce.

Osobiście odebrałem wszystkie, jakie się dało egzemplarze z hurtowni. Sam, jeżdżąc kiepskim samochodem, sprzedałem bez problemu 1.700 egzemplarzy w ciągu połowy roku. A potem książka dostała prestiżową nagrodę –no i sama poszła. Poszedł nakład i poszły dodruki. Nie mam już co sprzedać, by ponowić nakład. Nadal jeżdżę kiepskim samochodem. Bo ja sprzedawałem po 20 złotych.

Vide: księgarnie wysyłkowe. Po ośmiu latach od wydania resztki nakładu „Kapitanów” nadal kosztują tam powyżej 30 zł. Dodam bez litości, że od wydawcy zostały wzięte po 12 i 15 zł, przy czym do dziś nie za wszystkie zapłacono.

Wracając do świni, sądzę, że pośrednicy chcą się bardziej utuczyć aniżeli ona. Że jak stara zasada wskazuje, wszystko u nas musi być postawione na głowie. Nie na łbie, bo tu nawet świński łeb wydaje się szlachetny. Bo ten, kto ponosi największe koszty, największe też ryzyko, najmniejszy ma wpływ na sprzedaż, czyli po prostu – na cenę. Ani chłop na mięso w sklepie, ani wydawca czy autor na książkę w księgarni – nie mają żadnego wpływu. Na to, co właśnie oni stworzyli.

Okazuje się, że koszty produktu i zysk producenta to najwyżej 20% ceny detalicznej. **80% przypada na pośredników.**

Sytuacja jest jakby beznadziejna. Chłop nie może zająć się ubojem i dostawą do rzeźników, rzeźnicy też nie mogą stworzyć w każdym sklepie odpowiedniego zaplecza. Wydawca nie może nawiązać kontaktów z księgarniami na terenie całego kraju.

Mało tego, wytwórca stawiany jest w roli petenta. Chłop musi prosić o to, by zechciano kupić owoc jego pracy i dano łaskawie cenę, która go nie załamie. Wydawca jeździ do hurtowni i próbuje tam wcisnąć książkę, której jakość i poziom nikogo nie obchodzi. Różnica jest tylko taka, że hurtownik mięsa nie przypędzi chłopu świni z powrotem, natomiast hurtownik książki gdy nie sprzeda na skutek własnej czy księgarza indolencji, nie traci nic albo niewiele.

Czy jest na to rada? Bardzo prosta. Jak wszystkie proste rady, rewolucyjna. Ale nie chcę jej tu wyklądać, najpierw dlatego, by nie wyszło, że wszystkie rozumiemy pojadłem, potem dlatego, że prosta rada sama się narzuca. Ale też dlatego, że prosta, w realność jej, niestety, nie wierzę. Bo u nas tak jakoś zwykle bywa, że rozsądek spośród wszelkich towarów najrzadziej jest dostępny i najmniej poszukiwany.